Rok 1938 4 grudnia Nr 49

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

W tęskny czas oczekiwania

„Świat przez grzechy nieszczęśliwy, wołał w nocy głębokiej" — tak śpiewa pieśń roratna. I rzeczywiście, jakże bardzo nieszczęśliwą musiała być ludzkość, a przede wszystkim naród żydowski, wiedząc, iż przez grzech Adamowy nie mogło być zbawienia, albowiem Bóg obrażony złością i niewdzięcznością swoich stworzeń — zamknął przed nimi niebo.

Jedyną pociechą były zapisane w świętych księgach słowa proroka, mówiące o przyjściu kiedyś Mesjasza, który wziąwszy na siebie ludzkie winy, jako niewinny Baranek przeleje krew swoją i przebłaga tą ofiarą zagniewanego Stwórcę.

To też czekały na zapowiedzianego Zbawcę niezliczone pokolenia izraelskie, spodziewając się zarazem, że On położy kres wszelkim ich utrapieniom i stanie się królem potężnego z powrotem państwa żydowskiego. A oprócz tych, co wśród żyjących na ziemi oczekiwali wybawienia, tęskniły też bez miary w otchłani dusze sprawiedliwych, które najmocniej może odczuwały to straszliwe zatrzaśnięcie się przed nimi bram niebieskich.

Mijały długie wieki, aż przyszedł czas, że na tym niebie tęsknoty zabłysła przedziwna Gwiazda porankowa, która zapowiada rychłe już nadejście Słońca.

Któż jednak z ludzi mógł przypuścić, iż tą Jutrzenką zaranną jest Dziecina maleńka, jaka na świat przyszła pod dachem domu świątobliwych małżonków Joachima i Anny... Wszak matką Mesjasza, przyszłego króla żydowskiej ziemi, mogła być chyba tylko córa wielkiego, bogatego rodu. Toż nikt nie przeczul w przecudnej dzieweczce, co się od pobożnej matki uczyła czytać w księgach świętych, ani potem, kiedy ofiarowaną została do świątyni, ani jeszcze później, gdy dla zrodzić się mającego Syneczka, szukała schronienia — iż jest to właśnie owa Gwiazda poranna zwiastująca, iż Słońce zbawienia, J e z u s, już wschodzi.

Ten właśnie bez miary smutny okres oczekiwania przez ludzkość przyjścia Zbawiciela — to Adwent, jakiśmy obecnie zaczęli. Choć już przed dwu prawie tysiącami lat skończył się on narodzeniem się Pana Jezusa w Betlejem, odżywa on corocznie w życiu Kościoła św. i w duszach wiernych. Podnośmy więc w górę ku niebu i oczy i serca nasze, z upragnieniem oczekując chwili, kiedy to wśród nocnej ciszy 24 grudnia powtórzy się po raz tysiączny dziewięćset trzydziesty ósmy pamiątka owego cudownego narodzenia się Bożej Dzieciny. Tam w ubożuchnej stajence obok Słońca-Jezusa, błyszczeć też będzie Jutrzenka — Maryja, opiewana tak pięknie we wszystkich pieśniach tęsknego Adwentu.

Wojna gazowa i obrona przeciwlotnicza

Jak wiadomo, wojny dzisiejsze nie polegają wyłącznie na walkach dwóch armii na określonym polu bitwy, ale stosują wszelkie sposoby, aby tylko jak najwięcej siać zniszczenia w całym kraju nieprzyjacielskim. Do tego służą przede wszystkim naloty samolotów dla bombardowania i puszczania trujących gazów na miasta, przepełnione ludnością cywilną, mimo, że ona w wojnie udziału nie bierze. Chociaż są to środki straszne, okrutne, to przecież posługują się

nimi i niestety w najbliższych wojnach posługiwać się będą wszystkie państwa.

Ale gdy jedni wysilają swe mózgi nad wynajdywaniem coraz to straszliwszych sposobów niszczenia, inni starają się wynaleźć środki, które by mogły jak najbardziej temu przeszkodzić, a przynajmniej choć w części uchronić ludzi przed następstwami tak potwornych napadów.

Chodzi głównie o to, aby ludność miast pouczyć, jak się ma zachować w razie bombardowania czy gazowania przez samoloty nieprzyjacielskie. Przed bombami chronić mają schrony, specjalnie na to budowane, w których mieszkańcy mogliby się skryć w czasie zrzucania bomb. Przed trującymi gazami chronić mają przede wszystkim maski przeciwgazowe, których uzywania uczą się wszyscy, począwszy od młodzieży szkolnej. Poza tym mieszkańcy muszą stosować się do zarządzeń, jakie w tej sprawie wydaje organizacja Obrony przeciwlotniczej, t. zw. O. P. L. Aby tego nauczyć, urządzają władze próby, czyli tak zwane pogotowie.

Właśnie w ubiegłym tygodniu przeżył Kraków taki „na niby" nalot nieprzyjacielskich bombowców. Zbliżające się niebezpieczeństwo zapowiadało wycie wszystkich syren fabrycznych. To znak, że ludzie mają kryć się w swoich domowych schronach, ci zaś, których taki alarm zaskoczy na ulicy muszą chronić się do najbliższych bram. Z nastaniem zmroku wszelkie światła na ulicach muszą być zgaszone, a w domach zamaskowane, to znaczy, że okna zasłonięte być mają czarnym papierem, nie przepuszczającym światła na zewnątrz. Chodzi bowiem o to, by uniemożliwić lotnikom nieprzyjacielskim orientowanie się wśród nocy.

Bywały więc chwile, że w jasny dzień ulice Krakowa zupełnie pustoszały, gdyż przechodnie uciekali do bram, nawet przekupki na Szczepańskim placu musiały pozostawiać swoje marchewki, buraki czy kapuściane głowy na miejscu, aby własne głowy ratować w bramach kamienic. Wysoko w górze przelatywały całe eskadry aeroplanów zrzucając niby bomby, które pękały w powietrzu lub padały na ziemię.

O wiele groźniej wyglądało to wszystko w nocy. Miasto zalała ciemnica, gdyż lamp nie zapalano, ani też okna



Lekcja obrony przeciwgazowej w szkole angielskiej.

nie rzucały, jak zwykle, światła z mieszkań. Wszelkie zaś latarnie tramwajowe, autobusowe, czy jakiekolwiek inne dla uniknięcia katastrofy osłonięte były półprzeźroczystym papierem niebieskim. Po ulicach przebiegali gońcy, strażacy, policja, by dopilnować wszędzie zarządzeń O. L. P.

Prawdziwsze już jednak bitwy powietrzne toczyły się o mosty nad Wisłą. „Nieprzyjaciel" zarzucał je mnóstwem bomb (oczywiście nie wojennych), które nawet gdzieniegdzie wywoływały drobne pożary, natychmiast unieszkodliwiane przez straż pożarną. W końcu nalot nieprzyjacielski został odparty przez artylerię przeciwlotniczą, która zdołała obronić miasto. Okazało się jednak, że tylko bardzo mało osób zaopatrzonych jest w maski przeciwgazowe, gdyż pewnej chwili puszczenie niewielkiej ilości gazu łzawiącego w okolicy dworca kolejowego, wywołało ucieczkę tłumów zalewających się łzami w przeciwieństwie do tych, którzy mieli maski. Wojna gazowa w ogóle zmusza ogół mieszkańców wszystkich krajów do zaopatrywania się w te maski ochronne i do przyuczania się wcześnie jak należy ich używać. Załączona rycina przedstawia gromadkę uczniów szkoły w Anglii właśnie na lekcji obrony przeciwgazowej, gdyż tam pouczenie jak się chronić przed napadem lotniczym wprowadzono już obowiązkowo do wszystkich szkół.

Małpie potwory

(Ciąg dalszy).

Mniejsze od orangutana i goryla pawiany, chodzące zawsze w wielkich stadach, przedstawiają szczególne niebezpieczeństwo dla plantacyj, które niszczą za jednym zamachem. Ich potężne, do sześciu centymetrów długości kły, wyszarpują straszliwe rany w ciele przeciwnika. Najsilniejsze psy myśliwskie zostają często przez nie zagryzione na śmierć, a również i ludzie stają się niekiedy ich ofiarami. Są przytym pawiany bardzo uparte i mściwe, to też potrafią nieraz oblegać myśliwych przez cały dzień i dopiero nadejście pomocy zdoła napadniętych uratować.

Jednym słowem postrach puszcz amerykańskich czy afrykańskich, stanowią nie same „koty" drapieżne, jak lwy, tygrysy, lamparty, jaguary itp. lub jadowite węże, czy potworne krokodyle, ale takie małpie potwory.

Na szczęście my obawiać się ich niepotrzebujemy, gdyż silne kraty klatek w europejskich zoach zapewniają nam bezpieczeństwo. Zresztą, na ogół orangutan i goryl żyć nie może poza swym gorącym klimatem i trzymany w niewoli rychło ginie. W naszych krajach trzymamy tylko drobniejsze gatunki małp.

A teraz z dziewiczych puszcz Afryki czy Ameryki, przeniesiemy się do Europy, gdzie pewien uczony niemiecki chciał się koniecznie przekonać o tym, czy małpy posiadają zdolności posługiwania się narzędziami w przeciwieństwie do innych zwierząt, które tego nie umieją. Uczony ten podpatrywał więc zamknięte w klatce dwa szympansy, by widzieć, czy i jak będą sobie radzić w różnych wypadkach.

Otóż raz zawiesił im u szczytu klatki banany, które to owoce są dla szympansów przysmakiem najbardziej ulubionym. Za wysoko jednak było, by zwierzęta dostać je mogły przednimi kończynami, mimo, że są one u małp niezwykle długie. W klatce umyślnie zostawiono różne skrzynie i szympansy wpadły na pomysł posłużenia się nimi. Wiele razy powtarzały daremne próby, aż wreszcie jeden z nich porwawszy skrzynię na środek, postawił na niej drugą, wskoczył na zbudowane w ten sposób rusztowanie i dosięgnął upragnionego owocu.

Innym razem umieszczono banany przed klatką, w takiej jednakże odległości, że małpy dostać do nich nie mogły. W kącie klatki postawiono kij bambusowy. Otóż jedna z małp widząc, że łapą banana nie dosięgnie porwała

kij i starała się nim przybliżyć sobie owoce. Niestety, bambus okazał się za krótki. Wtedy wzięła drugi i usiłowała z obu zrobić jeden przez wetknięcie cieńszego w grubszy. Długo się namozoliła nad tak trudną dla niej sztuką, ale w końcu udało jej się to, czego chciała, i za niedługą już chwilę łakomie zajadała zdobyte własną przemyślnością przysmaki. (Dokończenie nastąpi)

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

— Stój, stój, chorobo — zakrzyknął naraz nieznajomy, klnąc dalej i odbiegł pospiesznie od młodej gromadki, by dogonić konia, którego nieopodal zostawił z furmanką, a który zapewne pocięty przez owady, zaczął umykać w cienistą drogę leśną.

— Jakiej narodowości może być ten człowiek — zagadnął nagle towarzyszy Stach ze swego bocianiego gniazda — bo ja przynajmniej nie rozumiem, co on mówi... Ale wyobraźcie sobie, że ten przyjemniaczek ku nam zawraca... doprawdy, ciągnie konia tutaj, nacholerowawszy się nad nim dostatecznie...

Ponieważ wszystkie drogi, jakimi można było wjechać na Majdan Górecki zagrodził przed godziną zastęp Lwów świeżo oskrobanymi z kory barierami, a całą, paromorgowych rozmiarów polanę, obwiedzioną w około borem i lasem bez wyłomów, zamykał zresztą zewsząd bez jednej wyrwy mur gęstwi krzów i drzewin, przeto miły rozmówca, jak poprzednio konia zostawiwszy na zewnątrz, wszedł z powrotem jeno z nieodstępnym biczyskiem.

— Podobnym językiem czy żargonem, jakiego on używa, mówią całe Opieńki — szepnął do druhów Barski, gdy tymczasem chłop rozglądał się, głową kiwał, wałęsał się tu i ówdzie, wreszcie w głowę skrobiąc się, zbliżył się znowu do środka polany, gdzie przy studni pracowali skauci nad postawieniem żórawia w miejsce skradzionego zimą na opał.

— To niby jak z tym majdanem, proszę ja panów — zaczął wieśniak — hę? majdan nie idzie?... Ja se dumał, co na Góreckim rychtyk terpentyn kupię, bo jak tu Mendele siedziały, to mój kum jeden, ten Wróblewski, co to młyn u niego w Czuczynie tam bliskowato pod lasem... Paweł Wróblewski, musicie wiedzieć... też był taki błagi, jak ja teraz. Ho, ho, wszyscy na wiosce dumali krugom, że wnetki go do bolnicy pospieją odwieźć, to on u tego Mendela, jeszcze u starego Jankla, kupił całą blachę terpentyna i co tylko czuł się gorzej słabowaty, to szklankę golnie...

— Szklankami pił terpentynę, bagatela — mruczał niby do siebie Sokolik, zabierając się do powrotnej drogi ze swego niedostępnego szczytu.

— Alboż nie — krzyknął chłop — jakby pany piły nie tak skąpowato tego majdana, też by nie były takie mizeraki chudowate. Wróblewski teraz taki tłusty, aż mu się ciężko ruchać przy młynie. Taki zdrów. Prawdę mówię. Ja z łońskiego lata taki błagi ciągiem, że se dumał wylekować się smołą...

— A to ojciec i smołę gorącą pija? smacznego! — zawołał, nie mogąc się powstrzymać Sokolik, dostawszy się właśnie na ziemię.

Chłop spojrzał na niego z podełba, splunął przez zęby i wyjął z kieszeni zatłuszczony woreczek z najgorszym tytoniem.

— Zakurzyć trzeba, u panów papier jest, bo u mnie ino machorka. Dajcie pany jaki gazet.

— Nie mamy, nie palimy — odpowiedziano.

Chłop złym okiem powiódł, ruszył jednym ramieniem i znowu spytał:

— No, niby jak z tym majdanem... Nie sprzedajecie terpentyna?... Chodzi majdan, czy nie chodzi?

(Ciąg dalszy nastąpi)